

Michał Bąkowski

Józef Mackiewicz i cenzura cz. 4

Petycja o przywrócenie wolności słowa

Pierwszy rozdział „traktatu-petycji o przywrócenie wolności słowa”, to wojna z Grydzewskim; wojna o osobisty styl, o prawo do licentia poetica. Mackiewicz wielokrotnie podkreślał swój niestłabnący szacunek dla Grydza osobiście, ale od samego początku współpracy pojawiały się napięcia. Godził się na cięcia, zmiany i poprawki w swoich tekstach (choć prawdopodobnie nie byłby się zgodził na podobne ingerencje ze strony innych redaktorów), chyba głównie dlatego, że cenił Wiadomości i pragnął w nich publikować, a także „po prostu przez zwykłą życzliwość i głęboki szacunek dla Pana”, jak pisał. A jednak już w 1949 roku musiał zaprotestować przeciw pisowni słowa „Kraj”:

„Nie ma takiej ortografii, która by narzucała autorowi, przez pisanie dużą literą, wyrażać szacunek do rzeczy, do której szacunku nie odczuwa. Kraj, jako pojęcie terytorium Polski podległej dzisiaj bolszewikom, płaszczy się przed nimi w sposób, w jaki w najgorszych snach nie moglibyśmy sobie wyimaginarować przed rokiem 1939. Ta postawa nie budzi we mnie szacunku, a raczej obrzydzenie. „Kraj” nie może być też w tym kontekście rozumiany jako imię własne, a tylko potocznie jako przeciwstawienie emigracji. [...] Słowo: kraj pisze się z małej litery, a nie z dużej. Pisanie z dużej może być tylko formą czci, jaką się wobec niego wyraża. Nikomu nie zabraniam wyrażać jej w sposób jaki uważa za stosowny. Ale protestuję stanowczo przeciwko zmuszaniu mnie do składania hołdów, których składanie nie leży w mojej intencji, ani zamiarze, i kładzenia pod tym swojego podpisu.”

Mieczysław Grydzewski, sławny przed wojną wydawca, mentor i przyjaciel Skamandrytów, a po wojnie redaktor londyńskich Wiadomości, był głośny ze swych nauczycielskich zapędów. Posuwał swój puryzm językowy tak daleko, że bezpardonowo zamieniał poważnym autorom słowo ekskluzywny na wyłączny (co jest niezamierzenie komiczne), medytacje na rozważania, a nawet walczył ze słowem wykluczać jako germanizmem, pochodzącym rzekomo od ausgekluczt, „nie zdając sobie sprawy, że to szmonces!” Mackiewicz był niezadowolony z poważnych zmian wprowadzonych np. do artykułu, który w końcu ukazał się w okrojonym formacie pt. „Bolszewizm i Watykan”. Wiele poprawek Grydza uderzało go swą absurdalnością – np. zmiana tytułu „Odkrywam zaludnioną wyspę” na „Odkrywam nieznaną wyspę”, gdyż oczywiście oryginalny tytuł był ironiczny, a tytuł Grydza był nijaki; albo zamiana „Parku Kultury i Otdycha” na „Park Kultury i Wypoczynku” – ale godził się na nie. W końcu, w 1956 roku, kiedy Grydz usunął nazwę hotelu „Złota Rybka”, gdzie ataman

Domanow podejmował kolacją tych, którzy mieli wkrótce zawisnąć na placu Czerwonym w Moskwie, napisał doń z otwartym rozżaleniem:

„Ja piszę artykuły do różnych amerykańskich pisemek w ciągu godziny. Do Wiadomości piszę czasem tydzień, albo dłużej. Wciąż nie mogę się pozbyć manieri opracowania każdego zdania i wydobywania efektów literackich, jakie ja osobiście uważam za słuszne. Poczucie, że zostanie przerobiony, odbiera chęć pisania, albo też wpływa na lekceważący stosunek do własnej twórczości. A ostatecznie honorarium nie pokrywa tego rodzaju pracy. Niektóre poprawki Pana, w niektórych artykułach, są lepsze niż w moim oryginale, ale nawet i w takim wypadku wolę pozostać sobą.”

Z czasem stawał się coraz mniej ustępliwy wobec wszystkich tych edytorskich interwencji. Zaznaczał np., że weźmie udział w Ankiecie tylko pod warunkiem, że odpowiedzi nie będą podlegać żadnym zmianom ani przeróbkom stylistycznym. Aż wreszcie przyszedł czas, kiedy Mackiewicz stracił cierpliwość. Napisał artykuł pt. „Gdzie są starzy święci”, który był otwartą polemiką z Grydzewskim i jego puryzmem językowym. Co więcej, przesłał ów artykuł razem z listem, w którym nie wyrażał już żalu, ale stwierdzał z naciskiem, że nie będzie mógł „godzić się na dotychczasową praktykę zmian i przeróbek”. Mackiewicz zdawał sobie sprawę, że nie była to żadna groźba z jego strony, gdyż jemu bardziej zależało na drukowaniu w Wiadomościach, niż na odwrót. Nie mógł się jednak zgodzić na kontynuację współpracy ze względów zasadniczych:

„W tym roku mija 35 lat odkąd zacząłem pisać; jestem autorem sporej wiązanki książek. Mam siwe włosy. A moje artykuły są poprawiane jak wypracowania w I-szej gimnazjalnej... Nie mówię naturalnie o pisowni, lub o rażących błędach. Błędy robi każdy. Pan też robi liczne błędy, i zdarza się, że nie mój, a właśnie przez Pana napisany na nowo artykuł muszę jakoś poprawiać. Nie twierdzę, że Pan ma zły styl. Ale ja chcę pisać moim stylem, własnym. Nie wkraczam przez to w Pana prawa. Pan ma prawo każdy artykuł odrzucić, a ja nie mam prawa się za to ani obrażać, ani żądać odszkodowania. Natomiast mam prawo pisać tak i jak chcę.”

W kilka dni później dowiedział się jednak, że jego brat opublikował w paxowskich Kierunkach „atak na Wiadomości na identyczny temat”, poprosił zatem o zwrot artykułu, nie chcąc pełnić roli „poputczika poputczików”. Prawdę mówiąc, nie mam osobiście wątpliwości, że Grydzewski w żadnym wypadku nie opublikowałby tego tekstu, gdyż Mackiewicz nie owijając w bawełnę nabijał się z niego:

„Niedawno, zdaje się Hemar, napisał, że największym autorytetem w sprawach pisowni jest redaktor Wiadomości. O tym sądzić nie mogę. Natomiast wiem, że jest

największym w tym przedmiocie dyktatorem. Ustanawia nowe prawidła, dekretuje na przykład zniesienie przecinka przed „że”; wprowadza nawet po trochu własny styl obowiązujący wszystkich współpracowników. Taka jest jego wola redaktorska. Lubuje się przy tym w cytatach, jak to inni sławni redaktorzy bywali jeszcze większymi satrapami. Zapewne ma rację. Z drugiej jednak strony wyniknąć mogą z tego skomplikowane, przynajmniej w teorii, problemy. Na przykład pisarz, drukujący się w Wiadomościach, wystąpi gdzieś przeciwko wyrzucaniu przecinka sprzed „że”; albo pisaniu „Kraj” przez duże „K”; albo jak ja chcę w tej chwili wystąpić, przeciwko pisaniu: „Dostojewskij”, zamiast normalnie: Dostojewski. Wtedy takiemu autorowi zarzucić można, słusznie, że występuje przeciwko samemu sobie. A na dowód przytoczyć jego liczne artykuły w Wiadomościach, za jego własnym podpisem u góry i dołu, w których właśnie tak sam pisał. Powstaje więc pytanie zasadnicze: co ma robić autor? Nie pisać? Czy nie wypowiadać swego zdania? Teoretycznie obie rzeczy stoją w sprzeczności z zawodem pisarza.”

Replika Grydza jakoby nie poprawiał komukolwiek stylu, wywołała furię w Mackiewiczcu:

„...nie tylko poprawia Pan styl, ale czasem go zupełnie zniekształca. I nie tylko styl, ale przez odpowiednio stosowane skróty, zniekształca Pan często moją myśl przewodnią, akcenty i siłę argumentacji w poglądach, z którymi się Pan nie zgadza. Jeżeli ja piszę np. ‘panowie z AK’, a Pan mnie przerabia na ‘żołnierze z AK’ (jak to miało miejsce) to oczywiście nie chodzi tu o żaden błąd językowy, tylko odwrócenie akcentu, a tym samym intencji autora.”

„Pisze pan: ‘Nie narzucam nikomu tematu...’ No, wie Pan, w stosunku do wolnych pisarzy (a nie stałych współpracowników), takie rzeczy zapoczątkował Lenin, a kontynuował dr. Goebbels.”

Listem, z którego pochodzą ostatnie dwa fragmenty, Mackiewicz zerwał współpracę z Wiadomościami na niemal siedem lat. Przerwał milczenie dopiero artykułem „Wielkie arrangement” nadesłanym anonimowo na konkurs w 1964 roku. Przez owych 7 lat drukował w Wiadomościach tylko listy, odpowiedzi na ankiety i zapisy wypowiedzi publicznych.

Sporadyczne potyczki z Grydzem trwały jednak nadal, bo Mackiewicz nie mógł zaakceptować zmian w stenogramach oficjalnych wypowiedzi. Kiedy Grydzewski chciał opublikować adiustowaną wersję jego Listu do Kaestnera, Mackiewicz dał upust swej frustracji:

„Niestety, zwrotów takich jak: „choć wprawdzie” podpisać swoim imieniem nie mogę, nawet żebym miał zrezygnować z listu. Tak się nie mówi i tak się nie pisze. To nie jest po polsku. A gdyby nawet zjawił się jakiś „autorytet”, który by twierdził, że tak trzeba, – to w każdym razie ja tak pisać nie będę, bo to brzmi ohydnie. Albo „choć”, albo „wprawdzie”. – Mniejsza o inne poprawki. Pozwolę jednak sobie zwrócić uwagę, że zmienia Pan „problem” na „zagadnienie”, a jednocześnie „Klub” na „Club”... Dlaczego w takim razie nie „kongres” na „congress”?... itd. [...] To nie jest ważne. To jest tylko mój styl. Ale styl prywatny to jest święta rzecz każdego literata. Jakim prawem Pan tę świętość szarga? Prawem Redaktora? Nie, redaktor ma prawo tylko każdy rękopis, który mu się nie podoba, wrzucić do kosza. Ale nigdy kazać podpisywać autorowi cudzy tekst. To znaczy, w wolnym świecie, przynajmniej, nie w totalitarnym, oczywiście.”

Mogłoby się zdawać, że spór na temat stylu, puryzmu językowego i feblików redaktorskich, nie ma wiele wspólnego z kwestią cenzury, ale wbrew pozorom, istota sporu dotyczyła treści, a nie formy. W recenzji z książki Pawlikowskiego, napisanej dla Kultury, tak opisywał problem:

„Zresztą z każdym innym rodzajem abstrakcji polemika jest utrudniona. Tak na przykład ze smakiem i gustem redaktora Grydzewskiego, który przerabia cudzy artykuł nie tylko z formy, ale i z treści, wierząc, że go poprawia. Nawiasem, to było przyczyną, dla której wyjątki z książki Pawlikowskiego, drukowane w Wiadomościach, przerzucałem tylko przelotnie, nie będąc pewien, ile znajdę w nich autora, a ile redaktora; podobnie jak nie czytam literatury tzw. „krajowej”, w której twórczość autorska wydaje się nazbyt pomieszana z dyktando partii.”

Przed zerwaniem w 1957 roku Grydzewski odrzucił wiele tekstów Mackiewicza (wiemy o ośmiu) – do czego bez wątpienia miał prawo. Mackiewicz nie kwestionował wcale redaktorskich praw, a jednak trudno było mu pogodzić się z takimi decyzjami, ponieważ uważał Wiadomości i Kulturę za coś znacznie więcej niż „organ Grydza” czy „poletko Giedroycia”. Chciał widzieć w nich „wolną trybunę narodu”. Kiedy Wiadomościom po raz pierwszy zagrażała likwidacja, na początku 1949 roku, Mackiewicz wystosował list, w którym argumentował, że emigracja polska opiera się na dwóch filarach: rządzie i Wiadomościach, które zastępują wolną reprezentację narodu. Dlatego „brak wytkniętego kierunku politycznego jest ich [tj. Wiadomości] największą wartością, ich siłą”. W liście do Kultury z 1965 roku, pisał:

„Nie mamy polskiej trybuny parlamentarnej nie mamy polskiej trybuny sądowej, nie mamy polskich rozgłośni radiowych; mamy tylko skromną, bardzo jednostronną prasę, praktycznie w rękach kilku ośrodków, lub kilku ludzi. Z reguły nie ogłasza ona rzeczy sprzecznych z poglądami tych kilku redaktorów, których zresztą poglądy w istotnych zagadnieniach są do siebie bliźniaczo podobne.”

„Wolna trybuna” uchodźców, oprócz niepodległościowego ostrza, nie powinna mieć żadnego kierunku politycznego, a jedynym kryterium dopuszczenia do jej łam winien być poziom. Istnienie Wiadomości i Kultury było dla Mackiewicza wyrazem woli wolności słowa. Był jednak odosobniony w tym przekonaniu:

„To, że całą emigrację ogarnął owczy pęd, nie dowodzi, że ten pęd jest słuszny. Mnie się zdaje, że Pańskie wspaniałe Wiadomości Literackie słynęły właśnie z przeciwstawiania się owczym pędom, a nie w ich przodowaniu. Zasiadłem nawet do napisania spokojnego, rzeczowego (artykułu) votum separatum w sprawie „34”. Ale dałem spokój. Wychodząc nawet z założenia, że nie mam stuprocentowej racji, czy nawet żadnej racji, niepodobna zaprzeczyć, że w wolnym świecie rzecz taka podlegać może wolnej dyskusji. A kto mnie taką wolną dyskusję wydrukuje? Pan nie, Kultura nie, Dziennik nie, żadne pismo emigracyjne. Na czyje ręce ja mam składać petycję o przywrócenie wolności słowa? Skoro za takie zaczyna się na emigracji uważać to, którego udzielić może towarzysz Cyrankiewicz.”

Toteż „odkąd Kultura stała się pismem jednostronnie politycznym o wyraźnym kierunku popierającym polskich komunistów w ich ‘własnej drodze do socjalizmu’, pozostały tylko Wiadomości.”

Trzeba przyznać, że stosunek Mackiewicza do dwóch czołowych pism polskiej emigracji, paryskiej Kultury i londyńskich Wiadomości, był zgoła osobliwy. Jak wiadomo obaj redaktorzy naczelni nie przepadali za sobą nawzajem, a ich periodyki niewątpliwie pozostawały w stałej konkurencji. Czytając wypowiedzi Mackiewicza na temat postulatu „Wolnej Trybuny emigrantów”, trudno oprzeć się wrażeniu, że próbował niemalże wygrywać jedno pismo przeciw drugiemu. Ale równie trudno byłoby się dziwić takiemu postępowaniu. Cóż miał innego robić, jak nie starać się wykroić sobie jakieś miejsce dla wyrażenia swych poglądów w jedyńskich pismach emigracyjnych na wystarczająco wysokim poziomie, a do tego z pretensjami do „liberalizmu”? Toteż łechtał próżność wielkich redaktorów i temu tylko zawdzięczamy, że jakiegokolwiek jego artykuły polityczne zobaczyły światło dzienne.

W 1957 roku Kultura opublikowała wywiad z posłem na sejm prlu Stefanem Kisielewskim (po latach Kisiel przyznał, że sam przeprowadził wywiad ze sobą). Tekst zawierał kolejny głośny atak na Mackiewicza:

„Mam do was zarzut personalny: że drukujecie Józefa Mackiewicza, który zarówno ze względu na swą okupacyjną przeszłość jak i na swe sprzeczne z polską racją stanu poglądy, moim zdaniem, drukowany u was być nie powinien.”

Słynny prłowski koncesjonowany opozycjonista, wykladał tu zasadę, którą posługuje się do dziś większość polskojęzycznych wydawców na planecie: nie należy publikować poglądów sprzecznych z moimi. Oczywiście liberalny savoir vivre domaga się ubrania takiego zakazu w retoryczne fajerwerki „polskiej racji stanu”, ale zerwijmy te barwne fatałaszkę i ukażmy żądanie Kisielewskiego w jego brzydkiej nagości. Oto mianowany przez bolszewickie władze poseł na prłowski sejm postulował niniejszym, by emigracyjne pismo nie publikowało antykomunisty, ponieważ jest to niezgodne z jego, bolszewickiego pośła, rozumieniem polskiej racji stanu. Mało tego, Kisielewski miał potem pretensje, że Mackiewicz nie przyjął pokornie jego wyroku. W 1986 roku pisał w Pulsie:

„Udzieliłem też Kulturze wywiadu, który sam napisałem – nieopatrznie zaczępiłem tam Józefa Mackiewicza, który polował na mnie potem do samej śmierci.”

Nie będę poświęcał więcej uwagi miedzianemu czołu p. Kisielewskiego, jego „nieopatrzny zaczepkom” wyrażonym w „wywiadzie z samym sobą” ani jego pokrętnie odwróconej moralności, wedle której to ścigany, samotny wilk poluje na myśliwych i ich naganiaczy, zaiste, „do samej śmierci”. Zostawmy arabeskowe wykręty faryzejskiego sumienia p. Kisielewskiego i jemu podobnych, a trzymajmy się problemu cenzury.

Mackiewicz odpowiedział na atak Kisiela listem do Kultury:

„W uniformizmie obowiązującego ‘polrealizmu’, nie istnieje pismo polskie, które by się zgodziło zamieścić napisaną przeze mnie, nie ‘merytoryczną obronę’, ale odprawę tym ‘zarzutom’, w analogicznej treści i formie, w jakiej są mnie stawiane, w treści i formie, w jakiej ja chcę odpowiedzieć, a nie w jakiej cenzura redakcyjna mi odpowiedzieć zezwoli; w obawie, aby nie ‘szargać różnych autorytetów i świętości narodowych’, za autorytety i świętości uznane przez obowiązujący ‘polrealizm’ (w rodzaju Korbońskich, AK, etc., etc.). W obliczu tej nierówności, jaka zachodzi pomiędzy jednostką a kolektywem narodowym, któremu wolno szkalować moją osobę jak chce, a mnie odpowiadać tylko w granicach ‘merytorycznych’, zmuszony jestem milczeć.”

Tak wyglądała praktyka cenzury na emigracji. W pierwszej części tych rozważań sformułowałem rozróżnienie między cenzurą formalną (instytucjonalną), a nieformalną cenzurą w postaci presji otoczenia. Cenzura, jakiej poddany był Józef Mackiewicz była na pewno nie-instytucjonalna, w tym przynajmniej sensie, że nie stał za nią żaden autorytet (państwowy, kościelny ani nawet komercyjny), ale jednocześnie nie ograniczała się do moralnych nacisków. Oponenci wiedzieli znakomicie, że zamknięcie mu wszelkich możliwości publikacji odbiera mu środki do życia. Ale

jednocześnie Mackiewiczowi odmawiano prawa do wypowiedzenia już nie tylko jego własnych poglądów – co w końcu można by uznać za artystowski wymóg pięknoducha – ale nawet do rzeczowej obrony przed atakami. Nie wolno mu było nazwać swych oskarżycieli z AK choćby „panami z AK”, gdy oni mieli prawo otwarcie domagać się zamknięcia mu ust. Niestety prłowski Kisiel był bardziej inteligentny niż emigracyjni polrealiści w rodzaju Stahla, Korbońskiego czy Nowaka. Kisiel sformułował nowy zarzut, który miał być jednocześnie uzasadnieniem dla społecznej cenzury: wypowiedzi Józefa Mackiewicza miały być niezgodne z polską racją stanu. Oskarżenie to zostanie wkrótce podjęte także przez emigracyjnych krytyków z fatalnymi konsekwencjami.

Zabierając głos w dyskusji nad tezami Zwycięstwa prowokacji, tak wypowiadał się na ten temat (znamienne, że dyskusja opublikowana została w Głosie Polskim w Buenos Aires):

„Czy może grozić ruchawką w Polsce, że Wiadomości londyńskie, czy Kultura paryska zamieści moje liberum veto? Nic nie grozi i nic nie zmieni. Ale zważmy na marginesie chociażby zbliżającego się millennium, że chyba po raz pierwszy od Mieszka I dożyliśmy czasów, gdy żadnemu Polakowi pod żadną szerokością geograficzną globu nie wolno wypowiedzieć zdania, że powinno się walczyć z wrogiem i okupantem polskiej ziemi. Nie wolno, bo żadne pismo w języku polskim tego nie wydrukuje, i nawet wzbrania na ten temat dyskusji. Jest to niewątpliwie świadectwo dużego uniformizmu myśli. Bo nie chodzi już o to, czy ja mam rację, czy nie-rację. Chodzi o to, że gdy cały naród bez jednego veta, bez różnicy płci i wieku, zawodu i wykształcenia, ma raptem – rację... wydaje mi się zawsze, że z wolnością słowa nie wszystko jest wtedy w porządku.”

Mackiewicz uprzedzał tu zarzuty, które za kilkanaście lat miały stać się przyczyną całkowitego i ostatecznego zerwania zarówno z Wiadomościami jak i z Kulturą, ale tym zajmę się w dalszych częściach. Wskazywał równocześnie – jakże słusznie! – że stawką w tej dziwnej rozgrywce nie jest wcale jego osobiste prawo do wolnej wypowiedzi ani nawet polska racja stanu. Przedmiotem sporu była wolność słowa.

„Otóż moim skromnym zdaniem, w okresach poważnego zagrożenia, a za taki uważam dzisiejsze zagrożenie komunistyczne, dyktatura oparta na samozłudzeniu, a sprawowana nie przez jednostki, lecz cały naród, tępiący oponentów, może okazać się w skutkach bardziej jeszcze fatalną. Gdyż w pierwszym wypadku pozostaje zawsze nadzieja na odwołanie do tzw. woli narodu. W drugim wypadku, od narodu do... woli narodu, nie ma i nie może być odwołania.”

Wolność słowa! Z pewnego punktu widzenia, mogłoby się wydawać, że żyjemy w czasach niemal absolutnej wolności słowa, przynajmniej w sensie nieograniczonego dostępu do środków komunikacji. Dziś każdy nieodpowiedzialny neptek może wyrazić swe nieuczesane myśli i rozpowszechnić je poprzez internet, twitter, facebook, shitface czy jakkolwiek to się tam jeszcze nazywa, nic więc dziwnego, że publiczna debata zniża się do poziomu wymiany anonimowych napisów w publicznych toaletach. Niżej podpisany sam publikuje niniejszą rozprawę w ten sposób, co robić. Mogę mieć tylko nadzieję, że z treści nie przynależę do dyskursu kloacznego.

Oczywiste pytanie, jakie przyświeca tym rozważaniom jest być może bardziej wyraziste w XXI wieku niż mogło się to wydawać w wieku XX: jak poradzić sobie z napięciem między wolnością wypowiedzi i myśli, a uzasadnionymi i ze wszech miar słusznymi prawami do cenzurowania? Będę nadal szukał odpowiedzi u Józefa Mackiewicza, bo choć nie mógł nawet przeczuwać koszmaru internetowych powodzi, to zajmował się tym nieuniknionym napięciem w sposób arcyciekawy.